

TURNIEJ

Franciszek Fenikowski

Reportaż drukujemy w związku z Dniem Morza i Dniem Stoczniowców

Wywiad z nimi? To nie będzie łatwa sprawa. Mój rozmówca scep-tycznie ściga brwi i zaczyna bębnić palcami w blat biurka.

— Dlaczego? — pytam, trochę zdziwiony jego słowami.

— Bo wiecie, nie chcą rozmawiać z „prasą”, żeby nie tracić ani chwili. Tak się zawzięli, że chodzi im dosłownie o każdą minutę.

— Mimo wszystko zajrzę do nich. Zobaczę, jak pracują te dwie słynne brygady, a może uda mi się pociągnąć któregoś z chłopców za język...

— Spróbować nie zawadzi — zgadza się ZMP-owiec za biurkiem.

Wychodzę z niewielkiego czerwonego domku i od razu chwytam mnie upał gorącego czerwcowego przedpołudnia. Piękna pogoda garściami rzuca słońce na szklane dachy hal na spokojną wodę stocznio-nych kanałów. Idę między ścianami czerwonych warsztatów. Rojno tu i gwaro. Od razu stwierdzam, że na Stoczni jest dziś gorąco — nie tylko dosłownie, ale i w przenośni. Ogromna fabryka pełnomorskich okrętów żyje wypełnianiem zobowiązań podjętych w związku ze Świętem Stoczniowców oraz ze Złotem Młodych Przedowników — Budowniczych Polski Ludowej. Na 2726 zobowiązań brygadowych i indywidualnych, podjętych w maju br. przez stocznio-nych przypadają na młodzieżowców aż 1401. Młodzież nadaje ton całej pracy. Najcięższa walka toczy się w ślusarni wyposażeniowej. Z rosnącym zainteresowaniem śledzi ją od tygodni nie tylko Stocznia, ale cała młodzież polska. Codzień na pierwszej kolumnie „Sztandaru Młodych” czytają zaciekawieni ZMP-owcy wyniki współzawodnictwa, podjętego przez brygady: Frankowskiego i Maluka. Trzeba przyznać, że obaj dotrzymują sobie kroku. Różnice zachodzące między nimi są minimalne i najczęściej nie przekraczają 1 procent.

W kieszeni szeleści mi zielenka ulotka, którą wyszperałem dziś w redakcji „Głosu Stocznio-wojca”. Wielkimi literami wy-

wę współzawodnictwo. Potych słowach podano długi szereg zobowiązań. Na czele ich figuruje następujące:

„Brygada im. W. Kniewskiego zawarła umowę z brygadą im. Hibnera. Brygada Kniewskiego zobowiązała się wykonać do Złota 170% normy, do tychczas wykonywała 160% Brygada im. Hibnera wykonywała 160%, do Złota wykonywać będzie 170% średniej brygadowej.”

Ciekaw jestem, czy naprawdę nie uda mi się porozmawiać z tymi dzielnymi chłopcami. Ślusarnia wyposażeniowa stoi w pobliżu kanału, na którym czerni się wielki dok pływający i czerwienią kadłuby nowych statków, czekających jeszcze na ostateczne wykończenie. Przed wejściem do hali wyrosła jak fantastyczny zagajnik gromada czerwonych wentylatorów. Niebawem zostaną one przeniesione na pokłady. Wśród tych pomalowanych minia „pni” widzę dwóch stocznio-nych w starszym już wieku. Rozmawiają z sobą tak żywo, że nie dostrzegają mnie zupełnie.

— A wy, majster, na Złot się nie wybieracie? — pyta ten młodszy.

— Chłopaki nie chcą mnie wybrać — uśmiecha się pod siwymi włosami — wiecie, ja jestem trochę starszy.

— Dlaczego?

— Mówią, że jestem za stary. Obiecałem już, że pożyczę od synka krótkie spodnie, ale i to nie pomogło.

— Przepraszam — pytam — czy tu pracują brygady: Maluka i Frankowskiego?

Spojrzałem na mnie i starszy kiwnął głową. Razem weszliśmy do ślusarni. W hali słychać było muzykę wiertarek i syk spawalniczych aparatów. Zza żelaznych parawanów biły acetylenowe łuny. Po schodkach weszliśmy na galerijkę, która na wysokości piętra otacza war-

rzy w kombinezonach, inni w junackich mundurach. Spod pilników syją się opilki. Twarze na ogół znajome: czy to z ry-sunków Marczewskiego, zamieszonych w „Sztandarze Młodych”, czy „Przekroju”. Ten wysoki blondyn w zawadiacko nasuniętej furazerce — to chyba brygadzysta Frankowski. Mam szczęście, że właśnie zaczyna się przerwa śniadaniowa. Można porozmawiać, nie przeszkadzając chłopcom w pracy.

„Frank” — jak nazywają kolegę Janka... Frankowskiego — urodził się w czworakach junkierskiego folwarku pod O-runią. Ojciec jego, dziś murarz był wówczas robotnikiem rolnym. Ale jeden z wujów pracował u Schichaua jako spawacz. Chłopiec chłoniął z otwartymi ustami opowiadania wuja o rosnących na pochylniach okrętach i postanowił już wtedy, że jak tylko dorosnie — pójdzie w jego ślady. Zaraz po ukończeniu szkoły, zgłosił się na Stocznia. Ale inna to była już stocznia niż ta, o której słyszał w dzieciństwie. Dawniej starzy starali się utrudniać i jak najbardziej zatruchiwać młodym okrem „terminatorstwa”. Teraz na każdym kroku uczniowie spotykali się z życzliwą pomocą. Janek od razu trafił do brygady młodzieżowej im. Kniewskiego. Ukończył podstawowy i średni kurs dla ślusarzy, koledzy poznali go i polubili. Kiedy poprzedni brygadzysta awansował na kalkulatora, Frankowskiego wybrano na jego miejsce.

— A z naszym współzawod-nictwem to było całkiem zwy-czajnie. Jak tylko przedstawi-liśmy na zebraniu po pracy nasz projekt — to długo nie trzeba było nikogo namawiać, wszyscy z chęcią zgodzili się, podpisali umowy, no i zaczęło się...

— A jak się skończy? — py-tam.

— Zobaczmy — odpowiada rywal „Franka” i serdeczny przyjaciel w jednej osobie — Józef Maluk. Maluk ma dopie-ro 21 lat, pochodzi z Lubelszczy-zny. Ojciec jego był murarzem w Strzyżowie. Po wojnie Józef stracił rodziców. W 1949 roku ukończył gimnazjum mechanicz-ne na Dolnym Śląsku. Do dziś jeszcze z dumą nosi aksamitną czapeczkę. W 1950 roku dowie-dział się z prasy, że Stocznia potrzebuje absolwentów szkół mechanicznych. Zgłosił się więc i zaczął pracować już w czerw-cu tego roku w tej samej bry-gadzie co „Frank”. W rok po-tem brygada tak się rozrosła, że trzeba ją było podzielić na cztery mniejsze. Wtedy to zo-stał brygadystą jednej z nowo-powstałych grup.

— Poprzednio mieliśmy tylko indywidualne zobowiązania. To podjęte 19 maja jest pierwszym naszym zobowiązaniem zbioro-wym, ale na pewno nie ostat-nim — mówi dalej Maluk. — Dzięki niemu bowiem wyrabia się solidarność i koleżeńskość.

Niesfety na dłuższą rozmowę nie ma czasu. Chłopcy skończyli właśnie śniadanie i znowu za skrzypiały pilniki. Mały Edwin Kortas piłuje z takim zapałem, że aż dostał wypieków. Teofil Cieślak, syn robotnika kamie-niolarstwa spod Cieszyna, zaka-sał rękawy junackiego mundu-ru i wkładał do kłosa klucze do zaworów. Henryk Szulc (z rękach tatuowanych jak stary wilk morski, mówi, że za-nic nie chciałby wrócić do TOR-u, gdzie dawniej pracował) Tu robota podoba mu się bar-dziej. Tego samego zresztą zda-

nia jest i Włodek Hoppe i jego imiennik Ziemia i Alojzy Kaszubowski i Łukasik i Szczygło.

Rywalizacja ich jest zaciekła, ale nie wpływa wcale na ich wzajemną przyjaźń i solidarność. Tak w pracy jak i w zabawie zawsze są pierwsi. Frankowski jest świetnym akordionistą, a Maluk nie ustępuje mu w tej sztuce. Nieraz przynoszą z sobą na ZMP-owskie wieczorki swoje instrumenty i wtedy rozpo-czynają się między nimi turnieje równie radosne jak ten, który w ślusarni wyposażeniowej wiodą ich brygady.

— Więc jednak się wam uda-ło — mówi ZMP-owiec w biurze. — No, a dowiedzieliście się czegoś ciekawego?

Pokazuję łup — w postaci no-tatek. Zaczynamy rozmawiać.

— Współzawodnictwo umowe-ne — objaśnia sekretarz — jest u nas rzeczą nową. Na ogół stocznia nie ustosunkowała się do niego entuzjastycznie. Wielu przyzwyczało się już do sta-rych metod i trudno było ich przekonać, że nowe są lepsze. Młodzi zrobili wyłom w tym murze obojętności. Dziś nieje-den taki „bój” toczy się na Stoczni. Mamy np. dwóch fre-zerów, którzy biją się dosłow-nie o pół procent...

— Słowem, wkrzesiliście naj-szlachetniejsze tradycje rycer-skich turniejów — żartuję.

— Te stocznio- „turnieje” — odpowiada — mają duże zna-czenie produkcyjne i przede-wszystkim wychowawcze. Wy-tapiają w ludziach ambicję, bu-dzą wyidealizację, usprawniają robotę. W ciągu ostatniego mie-siaca obie współzawodniczące brygady podniosły wydajność o 19% i lepiej zorganizowały pracę. Choćby taki Maluk. Co-dzień zbierał po zmianie swoje brygadę i omawiał z kolegami

(Ciąg dalszy na str. 3)



Franciszek Fenikowski

POŁÓW DALEKOMORSKI

Trawler „Jowisz” w rozbrzuśniętych planach rybnym Doggerbank jak pług prze-

— Szyper w bluzie na wiatr rozchełstanej krzyknął. I już wlokł plusnął w morze.

Z oczu niknie za burtą. Tonie. Skrzypią tylko stalowe liny. Potem do krwi otarte dłonie plon sortują żywej głębiny.

Spójrz malarzu! srebrnem, lazurem morskie żniwo w oczy ci bryśnie... Ryba kłosem jest w dłoniach, które przyorały morze. Ojczyźnie.

Nie płaczcie — otrzyście łzy!

Sen Man - ir

poeta koreański

Nie mówcie, tułąc się do matki: „Jedźmy tam, gdzie nie ma nieba”.

Po sesji wiedeńskiej byliśmy w Polsce, zwiedziliśmy O-święcim. Oprawdzał nas po tym obozie śmierci starszy Polak, który cztery lata prze-bywał w tej hitlerowskiej kaźni. Widzieliśmy piec, gdzie hi-lerowcy spalali ludzi, komo-ry gazowe... Widzieliśmy gó-ry dzieciennego obuwia. Wi-dzieliśmy potworną tkaninę splecioną z ludzkich włosów. To wszystko zdawało nam się strasznym snem. Sądzieliśmy, że nic już nie może być bar-dziej okrutniejszego. Lecz ten sen koszmarny stał się okru-pną zjawą na naszej ziemi, na wyspie Koźedo!

Nigdy, przenigdy koreańscy i chińscy żołnierze dostawszy się do niewoli nie poddawali się wrogowi. Każdy z nich wie: lepiej umrzeć w walce, niż się upodlić. Walczą oni pod łufami dział, czołgów i karabinów maszynowych. Kiedy Amerykanie namawia-ją ich do „wolnej repatriacji”, to jest proponują wci-ność pod warunkiem zdrady ojczyzny, jęńcy idą na ka-ra-biny maszynowe z „olym i rękami lub uzbrojeni w kamie-nie, pałki i kawałki żelaza.

Nie płaczcie, otrzyście łzy! Niech nienawiść krzepnie w serach waszych! Niech gniewną falą narodu zachłyśnie się wróg. Nie płaczcie! W dzień zwycięstwa zapłacemy łza-mi radości.

W nocy nie zaśniemy, a po-ranek spotkamy suchymi oczami.

Ty, matko, światu opowiedz jak tam na południu W szarej mgłę rzuca się Koźedo.

Dzieci mojej Siostry! — Mama!

Wszyscy ludzie świata wie-dzą tak, jak wy:

Zwycięstwo nasze nie za-górami

Nad nimi złożony będzie sąd świata

Nie ujdą wyrokowi!

Wyrzekną się ich matki i dzieci.

I w godzinę, gdy będą straceni

Ich prochy rozwieje wiatr wiosenny.

Wiatr wiosny pokoju...

Widziałem w Oświęcimiu nie tylko ślady strasznych męk. Widziałem szubienicę, na której powieszono katów Oświęcimia. My, Koreańczy-cy, wierzymy, że gdy nadej-dzie czas, wzniesiemy szubie-nicę dla Dodd, Kelsona, 30-atera i Ridgway'a. Wówczas dzieci patrząc będą spokojnie na błękitne niebo bez chmur swojej ojczyzny.

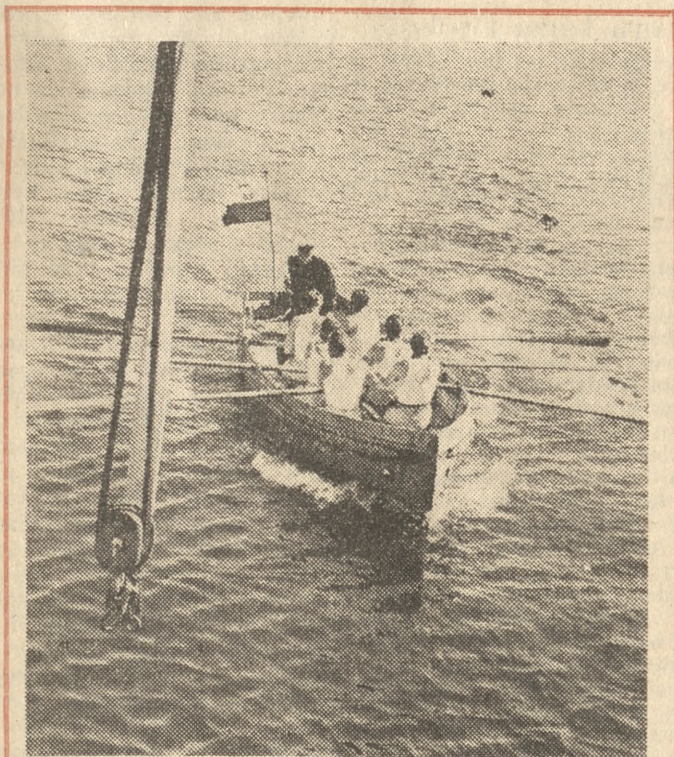
A gdy matka, o dzieci moje —

Wyprowadzi was za rączkę pod ciche niebo

Będziecie radosnie według jasných gwiazd

Liczyć lata szczęśliwego życia.

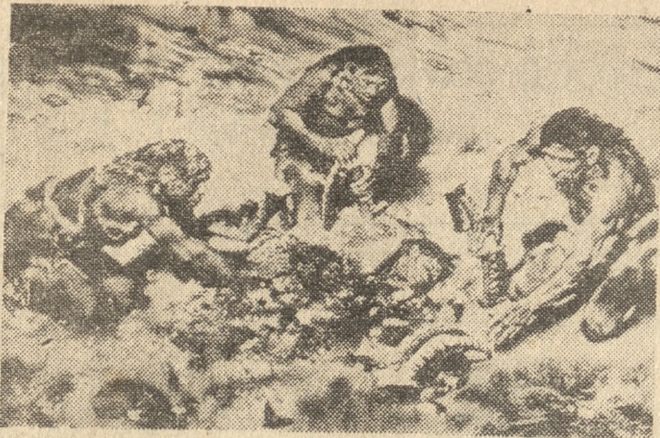
Tłum. H. B.



CAF — AFWP
Marynarze Ludowej Marynarki Wojennej i odnoszą swą sprawność fizyczną aby lepiej pełnić zaszczytną służbę.
Na zdjęciu: obsada łodzi wioślowej oficera Andrzeja Monasterskiego w czasie ćwiczeń.

drukowano na niej apel: „Na przód, na Złot, młodzieży wy-posażeniowcy. Młodzież wydzia-ła wyposażenia okrętów odpowia-da na wezwanie młodzieży wy-działu mechanicznego czynem produkcyjnym, zawierają umó-

sztat. Na ścianach widać tr-ZMP-owskie znaczki i napisy. Brygada Młodzieżowa im. W. Kniewskiego”. „Brygada Młodzieżowa im. Hibnera”. Przy stołach nad warsztatami pochy-lają się młodzi chłopcy. Niektó-



Pogrzeb dziecka neandertalskiego z jaskini Teszik-Tasz w Uzbekistanie (ZSRR) — według A. F. Buriana

Najstarsze ślady kultury ludzkiej w Europie

W stosunku do dzieł sztuki odkrytych w miejscowości Spichern w Alzacji. Archeologowie toczyli długie spory na temat noszących ślady obłędów krzemienia, zwanych eolitami, które znaleziono w Belgii, Anglii i Francji. Chodziło o to, czy krzemienie te były używane przez człowieka, czy też były to naturalne wytwory geologiczne. W końcu trzeciorzędu, to jest w przybliżeniu 600 tysięcy lat temu. Ślady życia człowieka pochodzą jednak dopiero z okresu czwartorzędowej epoki geologicznej — z pleistocenu, zwanego również okresem lodowcowym. Według wszelkiego prawdopodobieństwa prakolebka ludzkości, jak również najstarszych kultur i cywilizacji jest Azja. Pierwotna kultura ludzka mogła w tym czasie rozwijać się jedynie na południowych i południowo-zachodnich terenach Europy, do których nie dosięgał lodowiec. Miała ona dotrzeć do Europy z obszarów Indii, Chin, Mongolii, a także Syberii, gdzie na podstawie nielicznych wykopalisk stwierdzono występowanie najstarszych zabytków kultury ludzkiej.

Niektórzy uważają, że początkowe przejawy kultury ludzkiej występują w okresie zastosowania do pracy narzędzi z kamienia, oswajania zwierząt lub używania do przewożenia ciężarów prymitywnych wózków. Pogląd ten jest z gruntu mylny. Trudno bowiem poddać pod wątpliwość fakt, że kultura ludzka przeszła długą drogę, zanim poprzez pracę i ulepszenia narzędzi przez człowieka przybrała doskonałe formy, jakimi było wynalezienie pługów lub wozu. Stąd też o pierwszych śladach kultury, wkraczającej na coraz wyższy poziom wraz ze zmianami narzędzi produkcji, można mówić od zarania niepisanej historii ludzkości.

Niektóre znaleziska wskazują na to, że pewne gromady ludzkie pojawiające się w Europie, posługiwały się początkowo narzędziami z drzewa i kości. Wykopaliska ta-

kie odkryto w miejscowości Spichern w Alzacji. Stwierdzono ponadto występowanie w niej grubych pokładów spalenizny, co pozwala domyślać się umiejętności użytkowania ognia przez człowieka. Ogólnie wywiera decydujący wpływ na dalszy rozwój i kształto-



Polowanie neandertalczyków na niedźwiedzie — według A. F. Buriana.

ka i mogą uchodzić za najstarsze zabytki kultury ludzkiej, czy też są one dziełem przyrody.

Eolity znalezione w jaskini Czou-Kou-Tien pod Pekinem zdają się jednak wskazywać na to, że były one używane przez istoty protoludzkie (sinantropus). Za hipotezę taką przemawia fakt, że znaleziska te są wykonane z gatunków skał, nie występujących w najbliższej okolicy jaskini, a więc musiały być przyniesione przez te istoty,

których szczątki kostne w jaskini odkryto. Stwierdzono ponadto występowanie w niej grubych pokładów spalenizny, co pozwala domyślać się umiejętności użytkowania ognia przez człowieka. Ogólnie wywiera decydujący wpływ na dalszy rozwój i kształto-

ki swojej łupliwości i twardości. Stąd też okres szerokiego stosowania narzędzi krzemienianych znany jest pod nazwą epoki kamienia. (Znajomość i użytkowanie metali do wyrobu narzędzi sięga mniej więcej czwartego tysiąclecia przed naszą erą).

Pomimo długoletnich badań nie zdołano dokładnie ustalić jakiego okresu dziejów ziemi odpowiada najstarszy okres rozwoju kultury ludzkiej w Europie. Zdania badaczy są w tym względzie podzielone. W każdym razie od owego czasu upłynęło co najmniej 100 tysięcy lat. Stwierdzono, że w pierwszym okresie starszej epoki kamienia, zwanym preselskim, występują w Europie dwie grupy ludzkie, różniące się swoją kulturą materialną i sposobami obróbki krzemienia. Narzędzia wykonywane przez te grupy z jego odpadków stanowią najstarsze zabytki kultury ludzkiej. Są to skrobacze do oczyszczania skór i zdzierania kory z drzewa, następnie nie wyspecjalizowane narzędzia tnące, z których w przyszłości wykształca się noże, wreszcie spiczaste zakończone tłuki pięściowe. Te ostatnie znaleziono we Francji, Belgii i Anglii południowej. Podobne formy odkryto nadto w Afryce północnej. Stąd uczeni wysuwają wniosek, że pierwsi mieszkańcy Europy przyjeżdżali na jej obszary z Azji przez Afrykę północną. Dzięki sprzyjającym warunkom dochował się ponadto w miejscowości Clacton-on-Sea w Anglii drewniany grot oszczepu, dający pewne wyobrażenie o ówczesnym uzbrojeniu.

W następnych okresach starszej epoki kamienia nastąpił znaczny rozwój kultury ludzkiej, widoczny w coraz lepszej technice obróbki narzędzi, w większej przydatności tych narzędzi i w szerszym zasięgu ich występowania. Znaleziono je także w Niemczech południowych, w Austrii, w Czechach, w Polsce, na Węgrzech i w Związku Radzieckim.

Człowiek z epoki paleolitu przenoślił się z miejsca na miejsce, a za chwilowe schronienie służyły mu początkowo jaskinie lub nawisy skalne. Później chronił się od wiatru pod przenośne zastony, splecione z gałęzi, które z czasem przekształciły się w szałas. Zajęciem jego było myślistwo, zbieranie ziół, nasion i owoców. Mężczyźni polowali wspólnie przy pomocy drewnianych oszczepów, maczug i ostrz krzemienianych, a poza tym naganiali zwierzęta do wilczych dołów. Łowy z nagonką uwidocznione w prymitywnych malowidłach na ścianach grot skalnych dowodzą, że ludzie paleolityczni prowadzili gromadny tryb życia. Kiedy pospolita zwierzęta łowna stały się szybkie konie stepowe i jelenie, wówczas udoskonalili się broń (oszczepy z grotami krzemienianymi, proce, lasa). Kobiety zajmowały się zbieraniem owoców, jagód, korzonków, grzybów i innych darów przyrody.

Życie duchowe ludów starszego paleolitu jest mniej znane. Wiadomo tylko, że w czwartym okresie tej epoki zwanym musterskim istniał pewien obrządek przy chowaniu zmarłych. Układano ich na boku w pozycji skurczonej, a grób zaopatrywano w narzędzia — broń, jado i ozdoby. Świadczy to o stworzeniu przez pierwotnych ludzi prymitywnych wierzeń religijnych.

opr. A. K.

Gorące powietrze zamiast pary

Spośród mnóstwa najrozmaitszych materiałów budowlanych — najważniejszym jest beton — sztuczny materiał kamienny — otrzymywany jako rezultat stwardnienia mieszaniny cementu, wody i tak zw. „zapelniający” żwiru lub szabru. Jeśli do tej masy wmurować armaturę żelazną, to trwałość betonu wybitnie się zwiększy. Otrzymuje się w ten sposób żelazo-beton — najlepszy w obecnym czasie materiał budowlany.

Dziesiątki milionów m³ betonu zostały zużyte przy budowie olbrzymich wodnych elektrowni. Żelazo-beton stosuje się przy budowie transatlantyckich, fundamentów, ścian domów, stopni schodów itp. Obecnie większą część wyrobów żelazo-betonowych — przygotowuje się w specjalnych fabrykach.

Produkcja ich polega głównie na układaniu szkieletów armatury i masy betonowej w formy oraz zagęszczaniu tej mieszaniny przy pomocy wibracji. Naturalnie stwardnienie tych wyrobów trwa bardzo długo i aby ten proces przyspieszyć — parzy się je w specjalnych komorach. Para ogrzewa betonowe wyroby i wytwarza konieczną wilgotność. Uczeń radziecki bardzo dokładnie przestudiował proces parzenia. Okazało się, że w pierwszym stadium tego procesu para — osiadając na chłodnej powierzchni wyrobów — skrapla się na ich krawędziach. Skropliny, zwiększając zawartość wilgoci powierzchniowych warstw betonu, powodują często jego deformację, a nawet topienie. W następnym okresie parzenia — para dopływając nieprzerwanie do komory — stara się przeniknąć w głąb wyrobów, przy czym wytwarzając się ciepło w czasie skraplania — powoduje przegrzanie betonu.

Twardnienie cementu następuje przy zawartości wody w mieszaninie betonowej w ilości 25—30% wagi cementu. W praktyce jednak wody jest zwykle więcej, nawet do 80%, czyli, że beton zawiera nadwyżkę wody, która w czasie jego twardnienia — paruje i staje się zupełnie zbędną. Dlatego też radzieccy uczeni postanowili zmienić system stosowania pary. Jeśli w masie betonowej prawie połowa wody jest zbędna, to w jakim celu zwiększać jeszcze wilgotność z racji skraplania się pary? Może właściwszym byłoby zmniejszanie zawartości wody drogą przesuszania gorącym powietrzem? Liczne doświadczenia przeprowadzone w laboratoriach i zakładach produkcyjnych wykazały słusność tej metody.

Ogrzewanie powietrza 60—70° uzyskuje się za pomocą krążącej pary lub gorącej wody po systemie zamkniętym rurowic, zbudowanych na wzór centralnego ogrzewania. Wody zużywa się wówczas czterokrotnie mniej. Powietrze można również ogrzewać piecami elektrycznymi. W trakcie nagrzewania betonu woda znajdująca się na powierzchni wyrobów paruje,

tworząc wilgotne powietrze, co wpływa pomyślnie na twardnienie betonu. Czas suszenia nową metodą trwa od 14—18 godzin. Temperaturę w komorach w tym czasie utrzymuje się od 60—70°. Po upływie zaś tego okresu temperaturę można obniżyć. Do dalszego suszenia wystarczy ciepło, jakie się nagromadziło lub promieniujące z ogrzewających kamerę — konstrukcji.

W rezultacie zmniejszenia wilgotności przy stosowaniu ogrzanego powietrza, znika możliwość przesuszenia, jak tego doświadczyli uczeni zachodnioeuropejscy i amerykańscy — wyrobów betonowych. Jest to bardzo ważne, szczególnie dla budowy wznoszonych w strefie pustynnej wielkiego kanału Turkmenskigo i in. — w warunkach, gdzie jest trudno o wodę, a powietrze jest suche i gorące. Nowa metoda cieplnej obróbki betonowych wyrobów znacznie rozszerza możliwości produkcyjne przygotowania elementów budowlanych. Pozwala również na wykorzystanie komór-suszarek, które dotąd używano dla suszenia drewna i gipsowych wyrobów, oraz obniża prawie dwukrotnie koszt cieplnej obróbki wyrobów betonowych.

Zetwu

Umiar trzeba zachować

W promieniach słońca zdobywamy zdrowie

Dr med. T. Klimaszewski

Wiek XX zyskał m. in. nazwę wieku dziecka (słusznie, czy nieślusnie to kwestia do dyskusji). Obok tego jednak wydaje się, że powinien nazywać się również wiekiem słońca. W tym bowiem dopiero wieku doceniono dobroczynną rolę słońca dla zdrowia ludzkiego. Inna rzecz, że znaczenie to uwypukliło się w wieku XX skutkiem wzrostu miast i rozwoju przemysłu.

Znamy dobrze z ilustracji zeszlowieczonych, jak chroniono się przed słońcem w mieszkaniach o małych okienkach, noszono długie ciemne okrycia, jak starannie ochraniano twarze szerokimi kapeluszami i parasolkami. Czy dziś przyszedłby komukolwiek na myśl używać parasolki od słońca (oczywiście jako stałej części garderoby)? Przeciwnie, dziś każdy pragnie wyjechać na wczas głównie po to, by plawić się w słońcu.

Zastrzyki nie wystarczą

W związku z tym warto się zastanowić, czy istotnie promienie słońca mają w sobie jakąś życiodajną siłę dla człowieka i na czym polega „zastrzyk” energii, którą daje słońce. Niestety, w tej dziedzinie mamy skąpe wiadomości konkretne. Wiadomo na pewno, że promienie słoneczne wytwarzają w skórze witaminę D i jest to prawie wszystko co wiemy. Gdyby na tym jednak kończyło się działanie słońca, to można by przecie wstrzykiwać duże dawki witaminy D i problem byłby rozwiązany. Okazuje się, że wytwarzanie witaminy D w skórze jest nieodzowne dla dzieci, u dorosłych jednak ma mniejsze znaczenie.

Skóra człowieka jest — mimo swego obwodowego położenia — stosunkowo mało zbadanym narządem pod względem fizjologicznym. Przypuszczamy, że odbywa się w niej szereg procesów niesłychanie ważnych dla życia, że wytwarzają się w skórze pewne substancje, które działają pobudzająco na inne narządy, że wreszcie wytwarzają się w niej przeciwciała odpornościowe, które przestają się do krwiobiegu i odgrywają zasadniczą rolę w walce z zakażeniami. Są to jednak w dużej mierze hipotezy, nie poparte dowodami laboratoryjnymi.

Dlaczego skóra brązowieje na słońcu?

Przed kilkunastu laty jeszcze sądzono, że barwik wytwarzający się w skórze pod wpływem słońca, tak zwana melanina, powodująca znany wygląd opalonej skóry, ulega wchłonięciu i następnie dalszym przemianom powodującym korzystne działanie słońca. Gdyby jednak tak było, to Murzyni byłiby najzdrowszymi ludźmi. Dziś jesteśmy raczej skłonni przypuszczać, że ten „zastrzyk” energii powstaje skutkiem wytwarzania się w skórze jakichś nie odkrytych dotychczas witamin. W ostatnich latach wyraża się też przypuszczenie, że pod wpływem światła słonecznego i przekrwienia skóry obumierają i rozpadają się komórki tworzące tak zwane nekrohormony, które są bodźcem dla innych narządów. (Pojęcie nekrohormonów zostało stworzone przez uczonych radzieckich w związku z badaniami nad leczeniem metodą Fłatowa). Niewykluczony jest też wpływ pośredni czy bezpośredni substancji wytwarzanych w skórze na centralny układ nerwowy, choć sprawa ta nie jest dotąd zbadana. W każdym razie, jakkolwiek przebiegają zmiany w organizmie pod wpływem słońca, to pokrzepiający jego wpływ na ustrój

ludzki jest niewątpliwym. Nie odczuwają tego wpływu ludzie dużo przebywający na słońcu, bo się do tego przyzwyczaili, ale odczuwają go wyraźnie mieszkańcy miast, nawet po zwykłej jednodniowej wycieczce poza miasto.

Sprawa kurzu i pyłu

Ale dlaczego poza miasto? Czyż w mieście nie to samo słońce? Słońce to samo, ale promienie słoneczne nie te same. Z całego bogatego promieniowania słonecznego najważniejsze są nie te zwykłe promienie ciepłe i świetne, lecz tzw. promienie pozafioletkowe, które bardzo słabo przechodzą przez kurz i dym, jaki unosi się nad każdym miastem. Trzeba tu dodać, że na łonie natury dołącza się szereg innych dodatkowych czynników: hydroterapia przez kąpiele w wodzie, zwiększona ilość ruchu, łatwiejsze oddychanie skóry wskutek obnażenia się, większa zawartość tlenu w powietrzu oraz kojące działanie na system nerwowy przestrzeni i koloru zielonego.

Należy jednak przestrzec również przed szkodliwym wpływem słońca. Pomijając już przegrzanie prowadzące do omdlenia oraz poparzenia skóry, nagle, zbyt intensywne opalanie się w słońcu może wywierać ujemny wpływ powodując n. g. spadek odporności wskutek zbyt niego wstrząsu dla organizmu.

Częste występowanie anginy po zbyt intensywnym opalaniu się u osobników zresztą zupełnie zdrowych. Szczególnie często możemy obserwować ten ujemny wpływ u dzieci. I toteż tylko stopniowe, z umiarem stosowane opalanie się jest korzystne dla zdrowia. Przestrzec należy również ustrzeżenie przed stosowaniem słońca u osób chorych a zwłaszcza na gruźlicę, która przybiera bardzo ostre formy pod wpływem zbyt intensywnego nasłonecznienia. Gruźlikom nie wolno się opalać na własną rękę, terapię słoneczną mogą oni stosować tylko ściśle według przepisu lekarza.

Słońce — to życie. Wykorzystajmy więc w pełni wczasy, by plawić się w słońcu i zaczerpnąć energii na długie zimowe miesiące.

Podzwonne wiatrakom

PAWEŁ RZEMYK

Ród wiatraków jest już na wymiarciu. Jeszcze tu i ówdzie obdarty z desek, o poszrzepionych skrzydłach stoi drewniany staruch i wiatr zamiast poruszać jego kamienie i kruszyć ziarna, gwizdzie w szparach. Nikt już do niego nie zagląda z worem ziarna na plecach i nikt od niego nie wraca do wioski z worem o wiele lżejszej maki. U stóp jego nie siada w letni wieczór wian dziewcząt i chłopców, wśród których pyszni się młynarzówna, nie gawędzą z panem młynarzem chłopkowie wiejscy. Za to pobliską drogą przejeżdża do wioski wóz spółdzielczy ze świeżym pachnącym chlebem. Co tu wiatrakowi robić? Został już zabytkiem starego budownictwa przemysłowego i jest pod opieką konserwatora wojewódzkiego. Niedługo oglądać go będą ludzie jako rekwizyt ciemnej przeszłości. Stąd to podzwonne.

Stara historia

A miał swój pocziwy i nie-pocziwy żywot. Starożytność nie znała go wcale, chociaż miał go konstruować za czasów przedhomerowskich nieznaną wynalazca. Dopiero pełne zastosowanie znalazł w ustroju feudalnym z nieco „starszym bratem” — młynem wodnym (IV wiek n. e.). Użył wtenczas niewolniczym i najemnym dłońmi. Użył, ale równocześnie stał się narzędziem wyzysku. Ktokolwiek bowiem chciał zmieść ziarno, musiał za fatygę zostawić, więcej niż należało się, część tego ziarna. A właściciel zgarniał miarkę po młarnie, rósł w pieniądze i dumę.

Wiatraki w Polsce — szczególnie w tych stronach, gdzie nie można było budować młynów wodnych z braku spadku rzek — stawiali przeważnie koloniści, a ściślej mówiąc — zasadyści, sołtysi. Oni to otrzymywali od panów prawo stawiania wiatraków lub młynów wraz z prawem prowadzenia karczmy. Niezwykle przysługiwało im prawo przymusu wsi do mielenia w selekcyjnym wiatraku. Toteż sołtys szybko się bogacił, czym wnet zraził sobie dziecięca. Z godności selekcyjnej i związanych z nią przywilejów, a więc i z prowadzenia młyna, musiał rezygnować na korzyść pana z chwilą wprowadzenia ustawy o skupie sołectw (1563 r.). Odtąd wiatraki zaczęły służyć dworowi lub dzierżawcy i w dalszym ciągu zbierały dla nich ciężko zapracowane przez

Tak, w imię bielszej maki, smaczniejszego chleba, postęp — przeszłość wypłaca z ukrycia. Nikną skrzydła wiatraków z wieczornego nieba, zmienia się poezja na szybkim tempie życia.

(K. Fiweqer-Spunarowa)

pańszczyźnianych chłopów miarki zboża.

Młyńskie interesy

Prawie każde miasto wielkopolskie w czasach feudalizmu było otoczone wiatrakami. Śmigieł miał od nich wiać nazwę. A liczył ich podobno blisko setkę. Ponieważ w 1793 roku miał ich 31 na 254 domy! Kilkanasie a może więcej wiatraków otaczało Kościan, Czempiń, Leszno i inne miasteczka. Pamiętać należy, że młyny wiejskie i miejskie szlachcie dawały 15% ogólnych dochodów, z czego 71% dochodu tego przypadała na młyny miejskie, a 29% na młyny wiejskie. Są to dane z XVI wieku. Można przyjąć, że udział młynów w dochodach szlacheckich nie zmienił się i w następnych obu wiekach. Jak zbyt wielkie ściągano z chłopów opłaty za przemiał, świadczy nały wzrost żarna (wiek XVIII) w gospodarstwach chłopskich, które w ten sposób chciały się wyzwolić z kosztownej zależności.

Skończył się okres pańszczyźnianej wsi, skończył się i okres świetności wiatraków. W XIX wieku na peryferiach miasta zadudnił młyn parowy. Potem dał o sobie znać młyn motorowy. Przemiał trwał w nich o wiele krócej, mąka sypała się bielsza, opłaty były mniejsze. Właściciel nowoczesnego młyna zacierał ręce, bo furmanki chłopskich ze zbożem na przemiał coraz więcej. Posypały się pieniądze i miarki. Szły interesy!

Resztki skrzydlatej armii

Jeden młyn parowy czy motorowy zachwiał pozycję gospodarczą kilkudziesięciu wiatraków w okolicy. Nie było już czego bronić. Trzeba teraz mleć tylko posłać na służbę dla bydła. Rodowi wiatraków zaczęła grozić zagłada. Jeszcze w ostatnim okresie międzywojennym było ich w Polsce 10 tysięcy — resztki olbrzymiej skrzydlatej armii. Cóż, słabe. Każdy z nich mający zaledwie siłę 4-5 KM, nie mógł podołać konkurencji z maszyną parową lub motorem. Lecz — ciekawe, mimo tego olbrzymiego postępu technicznego w komorach i „remizach” gospodarstw szczególnie biedniejszych, zawsze były w pogotowiu żarna. Chłop nie ufał ani

Nowoczesna technika

Dziś już i żarno nie spotka się na wsi wielkopolskiej. Uspołecznione olbrzymie wielopiętrowe młyny i wielkie spółdzielcze piekarnie, nowe fabryki chleba przełamały dawną chłopską nieufność do wynalazków i do masowej produkcji. Narzędzie produkcji, znacznie ulepszone, zaczęło pracować nie dla kieszeni jednostek, ale dla dobra i pod kontrolą całego

społeczeństwa. Odtąd rolnik może czas, dawniej potrzebny na wyczekiwanie pod młynem, przeznaczyć na prace gospodarskie.

Zdawałoby się, że sprawa wiatraków już się kończy. Podzwonne i koniec. Ale tu można powiedzieć: Umarł wiatrak, niech żyje wiatrak! Tak — umarł wiatrak, narzędzie wyzysku, pokorny sługa wiejskiego i miejskiego bogacza. Jeszcze tylko tu i ówdzie straszy jego szkielet, żyć zaś zaczyna inny wiatrak, unowocześniony, ze stokratnymi śmigłami — silnik wietrzny mogący dać siłę kilkudziesięciu, a nawet 1000 KM. „Błękitny rumak” w tym cudownym maneżu, ustawionym pionowo, chodząc może bezustannie, bez poganiacza i bez kosztów, mieląc czas na elektryczność, pompując wodę i poruszając skomplikowane maszyny. A więc nowa służba dla nowego człowieka w coraz lepszym ekwipunku technicznym.



Czarny ład pęka od południa

...oślepiające promienie porannego słońca igrały na powierzchni morza i lekkiej wietrzyk zamierał w żagliach statków które zarzucały kotwice w błękitnych wodach zatoki.

— Ta góra wjeżdża jak stół — krzyknął jeden z majtków wskazując na zielone zbocza piaskowej góry tonącej w opalizującej mgle.

W środku gromadły imigrantów stał wysoki mężczyzna. Oblicze miał surowe, a długie kruczawo włosy opadały mu na ramiona. Rzucił rozkaz i natychmiast niewielka łódź została spuszczone na morze, szybko oddalając się wraz z dowódcą, w stronę brzoju. Pierwszy wyskoczył na płasek i postać jego zamarła w skupieniu. Modlił się. Był pierwszym białym człowiekiem, którego stopa stanęła tutaj w celu osiedlenia się na stałe. Z pochodzenia Holender, nazywał się Jan van Riebeck, a miejsce to dało początek miastu Capetown, na południowym cypłu czarnego ładu Afryki. Działo się to w roku 1652...

Przed paru tygodniami Unia Południowo-Afrykańska obchodziła uroczystość swoje 300-lecie istnienia. Trzy długie wieki panowania białego człowieka od Zatoki Table Bay, aż do źródeł leniwej i mętnej rzeki Limpopo. Trzy brzemienne okresy, pełne walk prowadzonych z czarnymi — lata narastającego dobrobytu dla białej mniejszości oraz lata łez i ucisku dla czarnej mniejszości.

To wszystko jednak nie za-ciemniło na zewnątrz obecnych festynów, wystaw i koncertów, organizowanych przez rząd południowo-afrykański. Premier dr Malan i jego przyjaciele demonstrowali przed światem, co działała w przeciągu lat trzydziestu cywilizacja białego człowieka.

W zabiedzonych kraalach i w niskich szafasach, gdzie panują choroby i nędza oraz w kopalniach złota, rozsianych dookoła Johannesburga i robotników zatrudnionych w cukrowych plantacjach Natalu nie ma radości ani festynów. Ustawy rasistowskie wprowadzone przez rząd Malana ponurym cieniem pokrywają tę część świata. Poza wielkimi uroczystościami bowiem, nabrającymi nowe zagadnienia, a między białymi dokonuje się rozłam. Ażeby dobrze zrozumieć ten konflikt, należy się cofnąć 50 lat wstecz, kiedy na horyzoncie tego ładu wyrosła sylwetka gen. Smutsa, ówczesnego premiera Unii Południowo-Afrykańskiej. Smuts postawił w tym czasie na Wielką Brytanię i skłonił Afrykę w latach 1914 do 1918 do zajęcia stanowiska opozycyjnego wobec Prus Wilhelma. To samo kontynuował jeszcze w roku 1939, mimo, że do zwalczania miał już dużo poważniejsze opory. W owych to czasach utworzył potężną partię Unii, przeciwstawiając ją nacjonalistom, którym przewodził obecnie dr Malan. Okres rządów Smutsa zaznaczył się pierwszymi aktami dyskryminacji rasowej przeciwko ludności nieuropejskiej. Obecni nacjonaliści podjęli ten kierunek i doprowadzili proces faszystacji w polityce wewnętrznej do zupełnej skrajności.

Po śmierci Smutsa partia Unii znalazła się bez silnego dowódcy i Malan wzmocnił niezłomnie swą pozycję. Nacjonalisci, jak wynika z ostatnich pociągnięć rządowych, konsekwentnie łamiąc wszelkie prawa godności ludzkiej, zmierzają do sprowadzenia ludności tubylczej do poziomu niewolnictwa pierwotnego. Równocześnie ci sami nacjonalisci, przeważnie potomkowie pierwszych kolonizatorów — Holendrów, chcieliby swoich śmiertelnych wrogów — Unionistów (ludność białą, mówiącą po angielsku) zepchnąć na plan dalszy, jako obywateli drugiej klasy. W tym układzie brytyjscy właściciele kopalń i ciężkie go przemysłu, zagrożeni w

swoich podstawach, popierają finansowo nowopowstały ruch polityczny, zainicjowany przez byłych kombatan-tów, a nazywany Torch Commando. W programie, odnosząc się do ludności nieuropejskiej, zarówno Torch Commando jak i nacjonalistów w niczym się nie różnią. Podczas jednak, gdy ci pierwsi reprezentują i bronią interesów sfer finansowo-przemysłowych, nacjonalisci rekrutujący się przeważnie z plantatorów i posiadaczy ziemskich, starają się rozbić wpływ i pozycję Unionistów.

Pół roku temu, zarysował się poważny kryzys natury konstytucyjnej. Mianowicie nacjonalisci dr. Malana wniosli do parlamentu ustawę, na mocy której miało być zakazane głosowanie tzw. kolorowych, (czyli Metysów) łącznie z białymi w jednym lokalu wyborczym. Sędziowie konstytucyjnej Unii Południowo-Afrykańskiej skasowali jednakże ów akt, co z kolei wywołało wielką burzę. Dr Malan, jak wynika z ostatnich pociągnięć, ma zamiar ustawę tę przeformować, nawet za cenę pogwałcenia ustawy konstytucyjnej. Ostatnio niepokoję, zarówno w łonie ugrupowań białych jak i u ludności tubylczej wzrastają. Malan nie cofa się jednak przed żadnymi represjami, stosując skrajny terror wobec ludności nieuropejskiej.

Unia Południowo-Afrykańska liczy 7700 tys. ludności

czarnej (w tym 283 tys. ludności pochodzenia indyjskiego) i 2400 tysięcy ludności białej. Stosowane od szeregu lat ustawodawstwo dyskryminacyjne, doprowadziło do kompletnego odseparowania ludności białej od kolorowej. Wyrazem tego jest odebranie wszelkich praw politycznych tubylcom łącznie z zakazem przebywania w dzielnicach zamieszkiwanych przez ludność białą. Niemożność zawierania małżeństw mieszańskich, trudności w przenoszeniu się z miejsca na miejsce, niewolnicze przywiązanie do miejsca pracy, brak opieki sanitarnej i społecznej — to wszystko tworzy z tej części świata obraz faszystowskiego ucisku materialnego i moralnego.

Mija lat trzysta, jak Jan Van Riebeck wylądował u brzegów Table Bay, wznosząc modły o pomyślność swego przedsięwzięcia. Po trzystu latach panowania białego ludność autochtoniczna, tkwiąca w pętach narzuconych przez cywilizację, zaczyna się budzić do nowego życia. Narasta uświadomienie w ludach kolonialnych i półkolonialnych, które coraz więcej zaczynają rozumieć swą siłę i cel i walczą o swoją godność i prawa. Nadejdzie chwila, gdy prawowici mieszkańcy Południowej Afryki zerwą kajdany i przejmą w swe ręce losy tego kraju.

M. J.

Szybkość - obroty, szybkość - obroty!

Walka o szybkość w każdej dziedzinie życia stała się hasłem człowieka współczesnego. Przyznajmy, że w tym kierunku osiągnięto bardzo wiele. Tak np. szybkość cięcia metali wzrosła w ciągu 50 lat 150 razy i dochodzi obecnie do 2000 metrów na minutę, a dla lekkich stopów od 3500-4000! Jeszcze niedawno cyfry te wydawałyby się wprost fantastyczne.

Tysiące, dziesiątki tysięcy obrotów na minutę w metalurgii jest dziś zwykłą miarą. Z szybkością 10 tys. obrotów na minutę obraca się wałek automatycznej obrabiarzki tokarskiej. 18 tys. obrotów na minutę — aże wrzeciono współczesnej tkackiej obrabiarzki. Ilość obrotów lożniczej gazowej turbiny w szybkościowym reaktywnym samolocie dosięga 15 tys. na minutę. Doświadczalne turbiny gazowe rozwijają 60 tys. obrotów na minutę.

Ostatnio ukazały się w Związku Radzieckim elektromotory dające 18 tys. do 48 tys. obrotów na minutę. Skonstruowany został motor o 120 tys. obrotów. Szybkościowe elektromotory pracują obecnie przy obróbce drewna i metalu oraz w ręcznych elektro-instrumentach.

Inżynierowie wykorzystali siłę prądów powietrznych dla otrzymania ogromnej ilości obrotów. Powietrze turbinki, obracające szlifowane szpindły i lożnicze żyroskopów daje szybkość 10.000 do 100.000 obrotów na min., a specjalnie szybkościowe do 150 tys. Przy niewielkiej średnicy obracającego się rotaru można otrzymać nadzwyczajną szybkość, sięgającą czterech milionów obrotów na minutę. Istnieją już ultracentryfugi pracujące na 150 tys. obrotach na minutę.

Szybkość reaktywnych samolotów przewyższa obecnie 1000 km na godzinę. Nie za górami są ultradźwiękowe samoloty z szybkością kilku tys. km na godzinę. Szybciej od dźwięku latają dziś rakiety podnoszące przybory naukowe na setki kilometrów wżwyż. A konstruktorzy marzą o szybkościach kosmicznych, o kilometrach na sekundy, aby przez zwyciężyć przyciąganie ziemi i wyrwać się w przestrzeń międzyplanetarną. Elektrony, które poruszały się z ogromną, nieosiągalną przez większość maszyn szybkością, pozwalają nam budować nadświatłowe maszyny, działające błyskawicznie. W maszynach tych elektrony pomagają badać elek-

tryczne, niedostępne dla wy-czuwalności naszych zmysłów, mierzyć odcinki czasu o milionowych częściach sekund, widzieć i słyszeć na odległość.

Z olbrzymią szybkością działają obrachunkowe aparaty automatów, „maszynowej matematyki”, gdzie również uczestniczą elektrony. Współczesne automaty rachunkowe mogą obliczyć bieg meteoru dwa razy szybciej, niż lecą on od granic atmosfery do Ziemi. Części substancji można rozbić w aparatach o szybkości zbliżonej do szybkości światła. Właśnie tu otrzymano szybkość mniejszą od szybkości światła tylko o 3 proc. Jest to największa szybkość, jaką zdołał dotychczas otrzymać człowiek sztucznie na Ziemi.

Nie ma granic dla potęgi umysłu człowieka, potęgi nauki i techniki! Być może szybkość, z jaką dziś latają elektrony, szybkość osiągnąca tylko w mikroskopie, podporządkowana będzie człowiekowi — przysze, mu budownictwo międzyplanetarnych samolotów. Wyjemy przecież w czasach, gdy odległość od najbliższej fantazji do realnej rzeczywistości zmniejsza się z zawrotną szybkością. (Fr. H.)

TURNIEJ

(Dokończenie ze str. 1)

rysunki, które dotąd dla niedoświadczonych były „czarną magią”. Planował też z nimi robotę, a nie raz, kiedy któremuś z młodszych nie szło tak, jak powinno odbierać mu pilnik i sam stawał przy imadle, by pokazać mu, jak należy dawać sobie radę z opornym materiałem... W ciągu krótkiego czasu wyskazywał chłopców, przybyłych do nas prosto „od krów” ze wsi, na do brych fachowców. I to wszystko bez mentorstwa, po koleżeńsku. Często np. urozmaicali sobie szkolenie śpiewem...

— Nic więc dziwnego, że i pracują śpiewając... — wtrącam.

— W ostatnim czasie nie schodzą poniżej 190%. A zdają się, że dociągają i do dwustu — potwierdza mój rozmówca i dodaje: — Ale ważniejsze jeszcze jest, że wyniki te nie są osiągnięte jedynie wysiłkiem mięśni, że orężem w ich „turnieju” jest również pomysłowość, że coraz częściej napły-

wają do nas meldunki o nowych usprawnieniach, dokonanych przez Łukasika czy Mietka Urbanowicza. Dawniej na przykład, kiedy mieli wycinać jakieś pokrywę, mozolnie rysowali każdą według rysunku — dziś robią po prostu szablon i zyskują w ten sposób wiele czasu. Dawniej przechodzili z jednej roboty na drugą, dziś kiedy jakaś trójka otrzyma np. do wykonania zbiorniki oliwne do trawlerów, pracuje przy nich od początku do końca... Rosną z nich fachowcy całą gębą. Już teraz kierownik Łędzianowski powiada: „Ci młodzi, to najlepiej robią na całej wyposażeniowej ślusarni”.

Tacy są chłopcy, o których turnieju codziennie pisze „Sztandar Młodych”. Wprawdzie do zakończenia tego współzawodnictwa jeszcze dość daleko, ale zapal ich i wytrwałość świadczą, że nie zwolnią tempa. Na pewno zasłużą sobie na upragniony udział w Zlocie.

Gościu, siadź pod mym liściem...

POCHWAŁA TYTONIU

Witold Gościaszek

Narada rodzinna z udziałem wszystkich członków rodziny — pół godziny. Spakowanie plecaka lub teczek — 10 minut. Wykupienie biletu — 10 minut. Przejazd pociągiem — ok. 2 godzin. Tyle czasu stracił, aby z Poznania przemieścić się serce „sierakowskiej Szwajcarii”.

Trud wczesnego zerwania się z łóżka opłaci się sowicie. Czyż warto bowiem wylegiwać się w niedzielny poranek pod pierzyną, kiedy możesz w tym czasie znaleźć się w cieniu majestatycznego „Zagłoby”, 600-letniego mieszkańca parku Państwowego Stada Ogierów w Sierakowie. Pod władzą rozpostartymi konarami tego dębu zmieściłoby się 100 par tancerzy. Najokazalszy z dębów zachwyci twoje oko powagą, majestatem i fantastycznie rozłożoną koroną. Ażeby nie było przykro innym drzewom, popatrzyj sobie później na „Janosika”, którego świerkowy pień wysoko, co najmniej na 30 metrów, wzbija się w niebo jak olbrzymi wykrzyknik na tle parkowej zieleni.

Napatrzyłeś się dość na drzewa? — Zaczniij oglądać budynki gospodarce. Przekonasz się, że będzie to dość ciekawa lekcja historii. Gdzie dzisiaj mieszkają sobie rasowe koniki, niegdyś mieściły się koszary Opalińskich, by w roku 1829 dać początek słynnej stadninie koni. Kłamał drzewiowie przy magazynach jeszcze dziś informują cię wyrzniętymi cyframi, że pochodzą z roku 1823. Z budynków koszarowych podziemny kruzgank prowadził do piwnic kościoła, fundowanego przez Piotra Opalińskiego i zbudowanego w latach 1619—1642 w stylu późnorenansowym, z domieszką baroku. Dziś kruzgankiem nie przejdiesz, bo zaspany, ale kościół zwiedzić warto, chociażby dla zobaczenia obrazu szkoły Rubensa, nagrobków rodziny fundatorów oraz misternie wykonanych stall przy głównym ołtarzu.

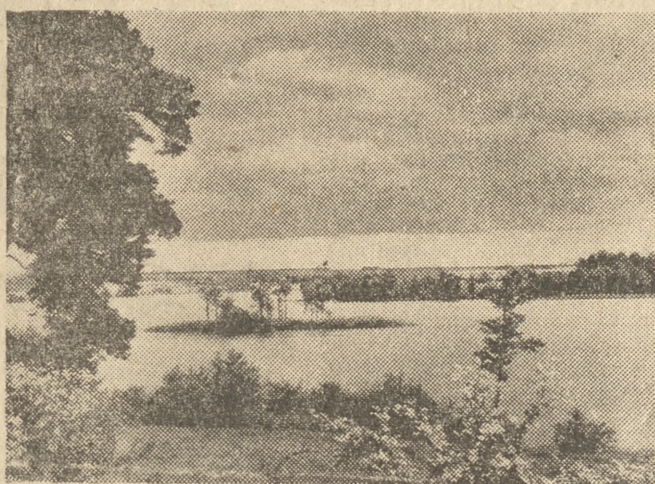
Wrażenia głębokie... na 45 metrów

Oglądniesz miasteczko, liczące około 3 tysięcy mieszkańców, odwiedzisz gospodę, gdzie urzeknie cię grzeczność personelu i świeże kwiaty na stolikach — i ani się spostrzeżesz, jak nogi same poniosą cię w stronę tuż pod Sierakowem położonego ośrodka szkoleniowego Woj. Komitetu Kultury Fizycznej. Gdybyś był członkiem kadry narodowej hokeistów na trawie, junakiem SP lub kursistą LZS-owcem, biegałbyś tu po uroczym leśnym zakątku, między schludnymi baraczkami obozowymi, grałbyś w siatkówkę, uczył się pływać w wodach leżących tuż w dole pod obozem Jeziora Jaroszyńskiego. Porosły drzewami i krzewami spadzisty brzeg zaprasza do odbycia spaceru drożką, wijącą się nad wodą tego słynnego jeziora, które na środku posiada (zapisz w notesie!) czterdzieści pięć metrów głębokości.

Młodzieńczy gwar 218 mieszkańców obozu odprowadza cię długo w twej wędrówce brzegami jeziora a gdy zamilknie zupełnie, ty jesteś już prawie u stóp malowniczo położonej wioski Grobia. Stąd po przecięciu szosy, spacerkiem wśród zbóż dostaniesz się po paru minutach na skraj innego lasu Żywa scia-

Julian Mikołajczak

na zieleni kryje za sobą tażną wzdłuż jeziora, będziesz jemnicę, której się najmniej tu wracać częściej. Urzeknie spodziewasz. Przebij się przez cie urok i czar tego ustronia, pachnący świeżą trawą las jego bogata roślinność. Zają a za chwilę w dole między wrzesz miłą znajomość z zakonarami drzew zabłyśnie coś białego jak lustro. U twych stop rozciąga się spokojna kę i przylaszczkami. Wystra-



W uroczej wysepce na Jeziorze Jaroszyńskim zakochać się można od pierwszego wejrzenia.



Pod konarami „Zagłoby”

Fot. (2) K. Przychodzki — „Głos”

tafla Jeziora Lutomskiego. Jezioro długości około 7 km leży w podłużnej rozpadlinie, o stromych brzegach porośniętych mieszanym lasem.

U staruszków nad Jeziorem Lutomskim

Jeśli choć raz jeden przejdiesz parę kilometrów dro-

szy cię szary zając, wybiegający spod twych nóg, albo sarna przetrnie drożkę, szleszcząc kopytkami po grubym dywanie zeschłych z sztorocznymi liśćmi. Ale najwięcej uciechają cię słynne buki, jedna z największych atrakcji sierakowskiej ziemi. Kilkuśetletnie staruszki na przestrzeni paru kilometrów dźwigają swe potężne pnie

koloru świeżej zaprawy murarskiej. Niejeden z tych sędziwych stróżów Lutomskiego Jeziora kona pod ciosami buzi lub jesiennych wichrów. W niejednym pniu ujrzyysz ranę lub szczelinę wypełnioną cementową plombą. To człowiek stara się o przedłużenie życia historycznych drzew. Kto wie, jak długo jeszcze turysta będzie mógł rozkoszować się ich widokiem. Zadzieraj więc głowę w górę i patrz, ile tylko oczyma poradzą. A potem — jak nędgdy Kochanowski pod lipą — „siadź pod ich liściem, a odpocznij sobie...”.

Oczywiście nie upamiętniaj spotkania z bukami wycieczką na ich korze inicjałów na tle przebitego strzała sera. (Tak niestety robią turyści-wandale!) Nie wycinaj serce na pniach buków; niech raczej one w twoim sercu wywołają długotrwałe wspomnienie piękna.

Na szczęście buki mają jeszcze wielu przyjaciół. Jeśli w swej wędrówce po ich królestwie spotkasz wielkiego miłośnika i znawcę sierakowskiej przyrody Władysława Jagiełłę z Sierakowic lub malarza-rybaka Zalewskiego z pobliskiej gromady Grobia, kłaniaj im się pięknie i poproś o informacje. Powiedzą ci wszystko o tym niezapomnianym skrawku sierakowskiej ziemi.

Wybierz się przy okazji z wycieczką. Sieraków obiecuje ci dużo wrażeń. To, o czym wspomnieliśmy, to tylko przedsmak właściwych przyjemności. Nie napisaliśmy tu nie o terenach położonych po prawej stronie Warty, o lasach i jeziorach, o „Czaple” wyspie” na jeziorze Kobus, o sztucznej wylęgarni ryb w Jeziornej i o wielu, wielu innych godnych zobaczenia zakątkach.

To wszystko czeka na ciebie. Jedź. Komunikacja jest dobra. Niedzieli spędzonej na wycieczce — nie pożałujesz.

Odkrycie pod koniec XV wieku Nowej Ziemi przez Krzysztofa Kolumba stało się zarazem początkiem zagłady wysoko rozwiniętej kultury plemion zamieszkujących ten kontynent. Po skarby Inków i Mayów wyciągnęły się chciwie ręce hiszpańskich konkwistadorów. Wszelki opór został zgnieciony, a niedobitki plemion tubylczych popadły w niewolę.

Złoto Nowego Łądu płynęło szerokim strumieniem napędzając kieszonki i skarby hiszpańskich zdobywców. Leżący kraj podbity i zniewolony prócz złota i srebra niósł swym zwycięzcom dar jakże złowieszczy. Darem tym był nałóg palenia tytoniu przejęty od krajowców i przez marynarzy rozpowszechniony następnie po całym świecie. Nowy nałóg znalazł niebawem wstęp do najwytworniejszych kół, a poseł francuski Jean Nicot, propagator palenia tytoniu we Francji, doznał się tego, że z nazwiska jego wysnuto łacińską nazwę rodzajową dla rośliny dostarczającej tytoń — Nicotiana.

Chociaż do tej chwili nie wyjaśniono jeszcze dokładnie wszystkiego, co wpływa szkodliwie na organizm przy użyciu tytoniu, to jednak nie ulega wątpliwości, że istotnym czynnikiem destruktywnym jest zawarta w tytoniu nikotyna. Występuje ona w surowych liściach tytoniu (niefermentowanych) w ilościach od 0,4 do 5,5% i stanowi jedną z najsilniejszych znanych nam trucizn. Sześć setnych grama (0,06 g) nikotyny stanowi śmiertelną dawkę dla człowieka.

Nikotyna jest trucizną działającą na nerwy, przy czym w małych dawkach wpływa na nie nawet pobudzająco, co palacze odczuwają jako pewnego rodzaju błogość, w dawkach natomiast większych poraża pewne zespoły nerwów, doprowadzając do poważnych schorzeń mięśnia sercowego, przewodu pokarmowego i wątroby, do porażenia mięśni, zaburzeń wzrokowych oraz do osłabienia pamięci i zwolnienia procesów psychicznych. Pojęcie dawki mniejszej czy większej jest przy tym pojęciem bardzo względnym, gdyż nikotyna ulega stosunkowo powolnemu wydalaniu z organizmu (ulega kumulacji) i przez nagromadzenie się wskutek nałogowego np. palenia tytoniu może doprowadzić łatwo do stężenia, które dla organizmu okaże się zgubnym.

Nie od rzeczy może będzie przy tym wspomnieć o fak-

cie, że przebywanie w atmosferze zawierającej dym tytoniowy jest równie szkodliwe jak samo palenie. Świadczy o tym przeprowadzone ostatnio przez polskich lekarzy doświadczenie. Dwie partie myszy, których jedną chowano w warunkach normalnych, a drugą poddawano regularnemu okurzeniu dymem tytoniowym, badano na poziom zawartości witaminy C w krwi. Przekonano się przy tym, że poziom u myszy okurzanych opadał znacznie wobec poziomu witaminy u myszy nie okurzanych.

Gdzież tu więc ta obiecywana w tytule pochwała tytoniu, zapyta czytelnik. Na podstawie przytoczonych rozważań trudno oczywiście zachwalać tytoń jako używkę, a na dobro „rudej trucizny” można chyba tylko zapisać to, że na skutek dużego jej rozpowszechnienia, składniki jej, ich działanie i budowa od dawna budziły zainteresowanie chemików, lekarzy i farmakologów.

W wyniku tych zainteresowań poznano dość dokładnie również dalsze składniki tytoniu oraz produkty ich rozkładu. Przekonano się przy tym, że przez utlenianie nikotyny uzyskuje się tak zwany kwas nikotynowy, którego toksyczność w stosunku do nikotyny jest tak znikoma, że można go stosować leczniczo w jednorazowych dawkach po 1 gramie. Bodaj jednym z pierwszych leków, który zdobył pełne prawa obywatelstwa, a wywodzący się z wspomnianego wyżej kwasu nikotynowego jest znany lek nasercowy, znany pod popularną nazwą Cardiamidu (Coraminy). Jest on amide dwutyłowym kwasu nikotynowego.

Sam kwas nikotynowy w stanie czystym lub jako amid znalazł stosunkowo późno zastosowanie, przyczyniając się do zwalczania tak zwanej pellagry, choroby objawiającej się stanami zapalnymi skóry, słowem (czarny język), krwotokami żołądka i zapaleniami skóry wystawionej na działanie światła, a spowodowanej właśnie brakiem amidu kwasu nikotynowego, którego organizm nie potrafi sam syntetyzować. Substancja ta zwana również witaminą PP (Pellagra Preventive), wchodząca w skład kofermentu oddechowego, pozwoliła na skuteczne zwalczanie występującej w niektórych krajach, zwłaszcza w uboższych warstwach ludności, nagminnie pellagry wyniszczającej zwłaszcza ludzi odczuwających mało zróżnicowanymi, niepełnowartościowymi pokarmami. Należy przy tym zaznaczyć, że leczenie pellagry do mniej więcej 1930 roku było niemożliwe.

W ostatnim czasie pojawiły się w prasie fachowej i w „Problemach” wiadomości o jeszcze jednym produkcie wywodzącym się z jednego z dalszych alkaloidów tytoniu, mianowicie o hydrazynie kwasu izonikotynowego. Gdyby badania kliniczne potwierdziły własności preparatu i nie wykazały niepożądanych działań ubocznych, byłbyśmy w posiadaniu potężnego leku przeciwgruźliczego, który mógłby się przyczynić do pokonania tego wroga ludzkości, jakim jest gruźlica. Do takich rokowań skłania cytowane twierdzenie, że związek ten posiada zdolność rozpuszczenia otoczki łasecznika gruźliczego, czego nie dokonali dotąd żaden preparat i co walce z gruźlicą czyni tak trudną. Oczywiście jeszcze nie czas na przedwczesne nadzieje, zanim nie zostaną przeprowadzone dokładne badania, jednakże jeśli nadzieje pokładane w tym leku się spełnią, nie należy zapomnieć również, że tytoń jest poniekąd jego, powiedzmy skromnie — ojcem chrzestnym, co do pewnego stopnia rehabilituje jego wady, które, uderzmy się w piers, są właściwie wadami ludzkości.

JAN ŁAGODA

Dzielna piątka z Zaniemyśla

Każdy z nich prowadzi jakby podwójny tryb życia. Przypatrzmy się kolejno tym pięciu młodym ludziom z gromady Zaniemyśl, pow. Środa.

Józef Przybylski jest listonoszem i codziennie rowem przemierza długie kilometry wiejskich dróg. Rewir jest duży, więc roboty aż po uszy. W ciągu dnia służba, a wieczorem...

Jerzy Grześkowiak, człowiek młody, wiecznie wesoły, mający w zapasie zawsze jakiś „kawał”, pracuje jako instruktor wychowania fizycznego w „SP”. Funkcja ta wypełnia mu cały dzień, a wieczorem...

Aleksandra Stefańska drobna rączka 18-letniej panienki wypisuje „Raporty obrotów” w dziale księgowości Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”. Praca w księgowości, wymagająca dużej uwagi i napięcia umysłu, wprowadziła młodym panie Aleksandrze, ale mimo to w godzinach popołudniowych lub wieczorem...

Zenon Błaszczak ma 19 lat i pełni odpowiedzialną funkcję referenta personalnego Prezydium PRN w Środzie. Chociaż codzienne dojeżdżanie do Środy zabiera mu dużo czasu i siły, znajduje zawsze na tyle ochoty, by wieczorem...

Władysław Flet jest uczniem Szkoły Zawodowej. Po odrobieniu lekcji, wieczorem...

Zapytasz, zniecierpliwiony Czytelniku, co ludzie ci robia

wieczorem. Czyż mogą czynić coś odmiennego, niż reszta mieszkańców Zaniemyśla?

Otóż częściowo — tak. Dwa razy w tygodniu, zamiast pójść na piwo do gospody lub czytać „Przekrój”, wymieniona piątka zbiera się w lokalu świetlicowym. Tu odbywają się zbiórki i próba zespołu amatorskiego przy miejscowym Ludowym Zespole Sportowym.

Świetlica przytulila ich dopiero od maja. Przedtem



W ciągu dnia Józef Przybylski jest miejskim listonoszem. Po południu i wieczorem — kierownikiem i reżyserem zespołu amatorskiego.

próby odbywały się w mieszkaniach prywatnych członków zespołu. Kierownik i reżyser, Józef Przybylski moc-

no musiał się nabiegać, zanim miejscowe władze zmieniły swój powściągliwy stosunek wobec spraw i potrzeb rozwijającego się zespołu. Trzeba było płać za wyposzczenie sali, za światło, za opał. Kiedy Przybylski zabierał się do organizowania grupy patrzone z powątpieniem na jego poczynania.

— Z naszą młodzieżą nie nie zrobicie. To same chuligany! — mówili tamtejsi „mędracy”.

— Były chwile, że chciałem wszystko rzucić w diabły! — mówi listonosz Przybylski. — Zastanawialiśmy się nad tym, czy prowadzić próby dalej, czy dać spokój. Ale potem wahania minęły. Udało nam się stworzyć zespół (listopad 1951) i przystapiliśmy zaraz do przygotowywania sztuki Al. Fredry „Zręczność i przekora”. Kostiumy i dekoracje sami sobie zrobiliśmy. Pomógł w tym dzielnie członek zespołu, nasz „nadworny” sufler — Emil Kowalczyk. Premiera odbyła się w Zaniemyślu, a później pojechaliliśmy ze sztuką na wieś. Odwiedziliśmy PGR Czarnotki, Rolniczą Spółdzielnię Wytwórczą w Garbach oraz wieś Kępa Nowa.

Czytelnik może zapytać, dlaczego piszemy o tych właśnie miłośnikach sceny? Przecież takich zespołów jak ten na wsi jest więcej! Tak ale ten jest najlepszy w Polsce. Na Festiwalu Sztuk Polskich zorganizowanym niedawno przez ZSCh w War-

szawie, zespół amatorski z Zaniemyśla zdobył pierwsze miejsce.



fot. (2) K. Przychodzki
Aleksandra Stefańska, pracownica umysłowa GS, wykazuje duże zdolności aktorskie.

Czyż to nie jest powód by o nim pisać. Naprawdę tak. Raz — aby wyrazić uznanie dzielnym amatorom z Zaniemyśla, po drugie — by inne zespoły wiejskie pobudzić do lepszej niż dotychczas pracy.

— Chcielibyśmy, aby w Zaniemyślu mógł pracować stały zespół amatorski... — wyraża życzenie kierownik Przybylski, który już wkrótce przystępuje do wystawienia „Pana Jowialskiego”.

Zyczymy im tego z całego serca.